



Aleksandra Smyk

Na własne OCZY

Notatki z podróży

TAJLANDIA, KAMBODŻA, BORNEO, SRI LANKA, MALEZJA, KENIA

Na własne oczy – to opowieść o realizowaniu marzeń oraz przedstawienie innych pomysłów na życie niż emerytura w domowym zaciszu. Autorka zdecydowała się na wyprawy do Afryki i Azji. Przekazuje Czytelnikom osobisty dziennik podróży, który przy okazji stał się przewodnikiem zawierającym wskazówki, jak poruszać się wśród innych kultur, zwyczajów i niepisanych zasad. To wspomnienia z cudownych miejsc i opowieść o wspaniałych ludziach, niezwykłych przyjaźniach i o znalezieniu w dalekim świecie drugiego domu. To także przesłanie do wszystkich, którzy pragną zobaczyć w życiu coś więcej. Najlepiej na własne oczy...

ALEKSANDRA SMYK – urodziła się w Warszawie w 1955 roku.

Podróżniczka i tłumaczka języka angielskiego. Z wykształcenia ekonomistka, zawodowo wieloletnia menedżerka zespołów personalnych zajmujących się rekrutacją, szkoleniami, motywacją pracowników, organizacją imprez pracowniczych. Kocha pracę z ludźmi i dla ludzi. Po przepracowanych czterdziestu latach spełnia się na zasłużonej emeryturze. Jej pasją jest natura z wszystkimi jej dobrodziejstwami. Mając duszę Cyganki, najchętniej ruszyłaby z taborem w nieznaną. W ostatnich latach wreszcie realizuje marzenia i ogląda świat w swoim rytmie.

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl


Sorus

Aleksandra Smyk

Na własne OCZY

Notatki z podróży

...

TAJLANDIA, KAMBODŻA, BORNEO, SRI LANKA, MALEZJA, KENIA


Sorus

Redaktorka prowadząca
Vanessa Włodarczyk

Redakcja
Danuta Szulczyńska-Mitosz

Projekt okładki
Marcin Dolata

Zdjęcia
Aleksandra Smyk

Skład
Travel & Design Miron Kokosiński

Copyright © by Aleksandra Smyk 2024
Copyright © by Sorus 2024

Wydanie I, Poznań 2024

ISBN 978-83-67737-52-4 książka
ISBN 978-83-67737-53-1 e-book

Wydaj z nami swoją książkę!
www.sorus.pl/dlaautorow/

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus Sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

Mężowi, który dzielnie trwał przy moim boku,
wspierał, jak tylko mógł najlepiej, i nigdy
nie powiedział mi: „nie jedź”

Synowi, któremu życzę, aby zawsze miał możliwość
realizowania swoich marzeń

Pamięci Ewy, która odważyła się ruszyć razem ze mną
na pierwszą wyprawę do Tajlandii,
a która tej książki już nie przeczyta

Wstęp

Podjmując decyzję przejścia na emeryturę, pomimo jeszcze bardzo dobrego samopoczucia i możliwości dalszej pracy, z której nikt mnie nie wyganiał, zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób wykorzystać oferowany mi czas. Spędzanie lata w kraju nie było problemem. Miałam to szczęście, że wiele lat temu bardzo tanio kupiliśmy od rolnika kawałek leśnej działki, na której po prostu postawiliśmy tak zwany domek holenderski, czyli, jak ja to nazywam, wielką przy-czepę na kółkach. Miałam tu swój wymarzony raj i niczego więcej nie potrzebowałam na ciepłe miesiące w roku. Ale co zrobić z zimą? Musiałam ten czas jakoś zagospodarować. Telewizora nie mieliśmy od lat. Półki w mieszkaniu w podwarszawskiej miejscowości, do której wyprowadziliśmy się siedemnaście lat temu, owszem, zapchane książkami, do tego jakiś komputer i trochę lasów dookoła.

Większość moich zawodowych lat przepracowana była w sposób bardzo intensywny, wiele nawet na dwóch etatach, ale najwięcej z nich spędzonych było na służbowych podróżach po kraju i po świecie. Byłam w większości krajów Eu-

ropy, zawiąło mnie także na inne kontynenty. Te delegacje miały jednak to do siebie, że poszczególne miejsca poznawałam trochę w locie, wykorzystując każdą wolną chwilę na to, żeby poza salami konferencyjnymi zobaczyć cokolwiek innego. Mimo wszystko cieszyło mnie to, że w ogóle mam możliwość, choćby przez chwilę, spojrzeć własnymi oczyma na świat poza granicami Polski. Ciągłe jednak czułam niedosyt. Oczywiście były także jakieś urlopy z rodziną, łapanie wrażeń podczas szybko mijających tygodni, zwiedzanie najciekawszych miejsc, byle tylko jak najwięcej zobaczyć. Stwierdziłam, że zdobyte w ten sposób doświadczenie dobrze byłoby wykorzystać w czasie odzyskanej właśnie wolności. Zamarzyły mi się podróże, podczas których mogłabym oglądać te – czasem zupełnie różne od naszego – kraje, w swoim własnym, niewymuszonym rytmie.

Przechodziłam na emeryturę, która – jak wiadomo – nie jest u nas zbyt obfita. Nie była tą najniższą, ale na wielkie szaleństwa także nie mogłam sobie pozwolić. Wiedziałam, że na Zachód już mnie raczej nie stać. To, co zdążyłam zobaczyć, musiało mi wystarczyć. Moje myśli i marzenia zwróciły się więc na Daleki Wschód. W tym kierunku moje podróże służbowe nigdy mnie nie zaniósły.

Po przejrzeniu naprawdę nieskończenie wielu informacji i przeprowadzeniu rzetelnych kalkulacji uznałam, że stać mnie będzie na wyjazd w niektóre regiony Azji. Po paromiesięcznym odkładaniu części emerytury, bilet lotniczy był

w zasięgu możliwości finansowych, a pozostała kwota powinna na początek wystarczyć. Potem dałabym radę utrzymywać się z tego, co dostawałam. Jeśli nie jest się zbytnio wymagającym, jeśli do życia komuś wystarcza czysty pokój z łazienką, jeśli nie musi to być cztero-, pięciogwiazdkowy hotel i *all inclusive*, to – jak wyszło mi z pozyskanych informacji – można spędzić na przykład trzy, cztery zimowe miesiące w Tajlandii. Stamtąd tanie linie lotnicze pozwalają, za w miarę rozsądne pieniądze, dotrzeć do następnych zakątków Azji w celu zwiedzenia jeszcze innych miejsc.

I tak zaczęła się moja przygoda z Azją. Ze wszystkich swoich podróży wracałam pełna nowych widoków, emocji i wrażeń, prowadząc w tym czasie bloga pod nazwą „Azja na własne oczy – notatki z podróży”.

Dzisiaj oddaję Państwu moje wszystkie zapiski zebrane w jedną całość. Można praktycznie powiedzieć, że jest to dziennik podróży mówiący nie tylko o miejscach, które zwiedziłam, ale także o wspaniałych przyjaźniach, które w tych czasach zawarłam. To prawdziwa opowieść nie tylko o krajach, zwierzętach, zwyczajach czy niepisanych zasadach, ale także o ludziach, których spotkałam na swojej drodze. Przede wszystkim właśnie dzięki nim moje podróże stały się bogatsze nie tylko we wrażenia wizualne, ale były także przepełnione ogromem zwykłych ludzkich emocji. To również opowieść o zwyczajnym, normalnym życiu mieszkańców tamtych krajów. Piękne rzeczy i miejsca można teraz

już zobaczyć w internecie, w turystycznych broszurach czy podczas oglądania programów telewizyjnych. Ja chciałam poznać te różne miejsca od tak zwanego zaplecza, i cieszę się, że to mi się w bardzo dużym stopniu udało.

Mam nadzieję, że te moje notatki zachęcą niektórych z Was, oczywiście w miarę posiadanych możliwości, do innego sposobu spędzania wolnego czasu na emeryturze niż siedzenie przed telewizorem w domu, nieustające zajmowanie się sprzątaniami, gotowaniem czy robieniem zakupów. Po wielu latach pracy i życiu w określonych godzinach i obowiązkach, jeśli zdrowie i jako taka emerytura na to pozwalają, każdemu należy się szansa wykorzystania tych lat w sposób szczególny i wyjątkowy. Wystarczy do tego trochę odwagi, chęci poznawania nowych miejsc i umiejętności organizacji. Z pewnością pomocna jest znajomość jakiegoś języka obcego choćby w stopniu służącym jedynie do podstawowej komunikacji, ale na migi, też się można porozumieć. W moim przypadku dobra znajomość języków była akurat niezaprzeczalnym atutem, dzięki któremu nie tylko mogłam zwiedzać, ale również pozyskiwać od tubylców ogromną wiedzę na temat reguł i niepisanych zasad panujących w ich krajach.

Od czasu mojej pierwszej podróży część podawanych z tamtego okresu kosztów z pewnością się zmieniła, ale dotyczy to przede wszystkim biletów lotniczych. Jednak – w zależności od miejsc – wzrosły też nieco koszty zakwaterowania i może trochę życia, ale ciągle wielu z nas stać jest

jeszcze na pobyt lub nawet dłuższą wizytę w tych krajach, jeśli emerytura kształtuje się na poziomie od trzech do pięciu tysięcy złotych i jeśli, tak jak wspomniałam, posiada się niewygórowane wymagania.

Wszystkie swoje podróże organizowałam sobie sama. Nigdy nie korzystałam z żadnych agencji turystycznych. Wyjątkiem był Egipt, gdzie we wcześniejszych latach lepiej było pojechać na zorganizowane wakacje i do wybranego hotelu. Sama szukałam lotów, sama szukałam miejsc do zamieszkania i sama zazwyczaj leciałam. Mój mąż w tamtym czasie jeszcze pracował i nie miał możliwości towarzyszenia mi w podróżach, w dodatku przez kilka miesięcy. Wiem jednak, że mając sposobność spokojnego wędrowania we dwoje, można razem przeżywać naprawdę wspaniałe przygody. Z całego serca polecam ten sposób organizowania sobie wyjazdów. Ma się wówczas nieograniczoną wolność w przemieszczaniu się, w szybkiej zmianie planów i samodzielnym podejmowaniu wszelkich decyzji.

Mam nadzieję, że moje notatki dostarczą Państwu choć trochę wiedzy o życiu w tamtej części świata, może niektórych nawet zainspirują do wybrania właśnie takiego życia na emeryturze. A może po prostu pokażą, że wolny czas można wykorzystywać inaczej. To nie zawsze muszą być dalekie wyprawy. Ważne jest, żeby – w miarę możliwości – spróbować po prostu realizować swoje ciche marzenia. Bo marzenia ma każdy z nas. Szczerze zachęcam do tego, bo naprawdę warto.

W tym dzienniku podróży może nie tylko starsi, ale także i młodsze pokolenie, które coraz częściej wyrusza z plecakiem na indywidualne wyprawy, znajdzie coś ciekawego dla siebie i będzie chciało to wykorzystać.

Aleksandra Smyk

ROZDZIAŁ I

Pierwsza wyprawa do Tajlandii – rok 2016

Był rok 2016. Pożegnalne spotkanie w pracy było udane. Z jednej strony było mi przykro, że już nie będę dłużej z tymi ludźmi pracować, ale z drugiej pojawiła się radość, że nie będę musiała wstawać bladym świtem, spieszyć się na pociąg, metro czy tramwaj, i że od tej chwili będę wolna od całej masy obowiązków zawodowych. Ta myśl koła żal z powodu zakończenia blisko czterdziestu lat pracy. Wreszcie przechodziłam na od dawna oczekiwaną emeryturę. Otwierał się przede mną całkiem nowy rozdział życia. Zastanawiałam się, co teraz zrobię z tą odzyskaną po wielu latach wolnością i nadmiarem wolnego czasu. Ostatnie szesnaście lat było szalone, trudne, wyczerpujące psychicznie, spędzone w biegu i często w stresie. Nagle stanęła przede mną perspektywa zagospodarowania nie tylko dni, ale – miałam taką nadzieję – kolejnych długich lat.

Odchodziłam z pracy w lutym, więc zaplanowanie pierwszych miesięcy nie było zbyt trudne. Miałam wreszcie swoją wymarzoną działkę na skraju lasu, pomiędzy rzeką a małym jeziorem, i nic nie mogło mnie cieszyć bardziej, niż możliwość spędzania tam w końcu całych wiosenno-letnio-jesiennych tygodni bez żadnych już zawodowych przeszkód. Wiedziałam, że na nią wyruszę, jak tylko pogoda na to pozwoli.

I taki był początek odzyskanej po latach wolności. Nareszcie nie musiałam jeździć na nią tylko na trzy dni, wystawać godzinami w piątkowych korkach wyjeżdżając z Warszawy i niedzielnych, kiedy do niej wracałam. Mogłam o poranku pić spokojnie kawę na tarasie, otoczona śpiewem ptaków, a wieczorami słuchać wspaniałych koncertów żab. W ciągu dnia obserwowałam z tarasu podchodzące pod mój płot sarny, łosie, koziołki, a o zmierzchu nasłuchiwałam odgłosów borsuków, lisów czy jeży. W tak zwane robocze dni leniwie leżałam z książką na huśtawce, sadziłam kwiaty, chodziłam na długie spacery, porządkowałam teren, jeździłam do najbliższej osady po zakupy. Piątkowe poranki zaczynałam od walki w kuchni, czyli od szykowania smakołyków na okoliczność przyjazdu męża, który wciąż pracując, pojawiał się tu tylko na weekendy. Przedemną była też perspektywa jesieni i nieśpiesznego grzybobrania. I tak powoli mijały tygodnie, aż do chwili, gdy w jakimś momencie pojawiło się nieśmiałe pytanie: a co ja będę robić zimą?

Nigdy nie byłam typem matki Polki szalejącej wiecznie po domu z odkurzaczem, uwięzionej po uszy w garach,

układającej wszystko pod linijkę w szafach i komodach. Pół życia spędziłam w rozjazdach służbowych, ciągle w ruchu, często pracując na dwóch etatach. Ukochane książki – jeśli była taka możliwość – połykałam w środkach transportu lub czytałam kosztem cennych godzin snu i wolnych chwil, gdy się tylko takie pojawiały. Telewizji nie oglądałam wcale, bo takiego sprzętu od lat w naszym domu nie było, na kino już czasu nie miałam. Dom ogarniałam w biegu, gdy musiałam, a najczęściej przy pomocy osoby sprzątajacej. Obiady jadaliśmy z mężem w naszych pracowniczych stołówkach lub pobliskich barach. I nagle stanęłam przed perspektywą spędzenia zimowych miesięcy w miejscu, który w latach pracy zawodowej traktowany był przeze mnie bardziej jak hotel niż dom!

Niespodziewanie z pomocą przyszedł mi mąż. Miałam wrażenie, że on też się trochę obawiał tej mojej pierwszej zimy na emeryturze. I może dlatego, buszując po internecie, zwrócił uwagę na informację, że wielu emerytów pochodzących z różnych krajów, w tym z Polski, wyjeżdża na zimę do Tajlandii. Poszperał więc, nazbierał wiadomości i mniej więcej pod koniec wiosny rzucił od niechcenia:

– A może byś się wybrała na tę zimę do Tajlandii i sprawdziła, czy to prawda, co o niej mówią?

Mnie, którą całe życie swędziła tylna część ciała, nie trzeba było tej propozycji dwa razy powtarzać. Upewniłam się tylko, czy mówi na poważnie i czy naprawdę pasuje mu mój

wyjazd na kilka miesięcy. Kiedy okazało się, że mówi całkiem na serio, dostałam tak zwanego szwungu. I już wiedziałam, co będę robić zimą.

Na początek i ja zaczęłam zdobywać wiedzę na temat kraju, zwyczajów, miejsc wartych obejrzenia, języka. Czytałam blogi, oglądałam filmy, patrzyłam na możliwości zakwaterowania, przyglądałam się kosztom życia w Tajlandii. Sprawdziłam jakiego rodzaju formalności mnie czekają, jeśli miałabym wyjechać na kilka miesięcy. Pomysł wyjazdu podobał mi się coraz bardziej.

W ciągu swojej pracy zawodowej objechałam kawałek świata, ale tak się złożyło, że do Azji mnie nie poniosło. Byłam bardzo ciekawa tego, całkiem dużego, skrawka ziemi, a perspektywa spędzenia na nim paru miesięcy stała się ogromnie kusząca.

Bez zbytniego zażenowania mogę stwierdzić, że organizacja była zawsze jedną z moich najmocniejszych umiejętności. Pod moim przewodnictwem odbywały się najróżniejszego rodzaju spotkania integracyjne pracowników, ogromne pikniki, szkolenia, wszelkie wyjazdy połączone z wytyczaniem tras, szukaniem ciekawych miejsc, rezerwacją hoteli i transportu. I tak jak zawsze w przeszłości, postanowiłam i tym razem przygotować po swojemu tę pierwszą wyprawę do Azji.

Powoli zaczął krystalizować się plan wyjazdu. I wtedy ze strony męża padła nieśmiała uwaga, że może ten pierwszy raz nie powinnam jednak jechać sama. Pomimo faktu, że pomysł wyjazdu do Tajlandii pochodził od niego, ogarnął go

lekki niepokój. Wiedziałam, że dam sobie radę, ale pomyślałam, że może i jest w tym trochę racji. Rzuciłam wśród moich najbliższych emerytowanych przyjaciółek hasło, że lecę na dłużej do Azji, i czy któraś nie byłaby chętna towarzyszyć mi w tej wyprawie. No cóż - znalezienie towarzyszki nie było rzeczą prostą. Ta nie może żyć w tropikach, ta nie zostawi męża na tak długo, tamta nie wsiądzie do samolotu, bo ma fobię, a innej nie pozwalają na to skromne finanse. Pracujące przyjaciółki odpadały z założenia, bo żadna nie mogła jechać na planowane kilka miesięcy. Ostatecznie jedna z nich się zdecydowała. Przyjaciółka od ponad trzydziestu lat, prawie jak siostra, której nigdy nie miałam, stwierdziła, że raz się żyje i że ona też chce przeżyć jakąś wielką przygodę. I w ten sposób plany wyjazdu można było przekazać do realizacji.

Nowe plany wymusiły wprowadzenie niewielkich zmian w zorganizowaniu podróży dla dwóch osób. Miałyśmy spędzić ze sobą prawie cztery miesiące razem, bez możliwości skrócenia tego okresu. Tym samym planowanie pobytów w hotelach stało się małym wyzwaniem. Z uwagi na mniejsze możliwości finansowe Ewy, trzeba się było trochę dopasować do jej budżetu i zdecydować na wspólne mieszkanie w pokojach hotelowych i to takich, na które było nas wspólnie stać. Podobnie było z biletami lotniczymi. Kiedy podjęta została decyzja o tym, dokąd lecimy, zaczęłam szukać najtańszych opcji.

Mnie interesowała przede wszystkim woda i pewnie dlatego miejscem naszego pierwszego pobytu miała być wyspa

Phuket. Nie znając kraju i warunków życia w nim, wybór tej, chyba najbardziej turystycznej, wyspy w Tajlandii, wydawał się najrozsądniejszy. Dopiero stamtąd miałyśmy wyruszać w inne strony, kiedy znajomość niektórych zwyczajów i realiów życia będzie już trochę większa. Plany dalszego pobytu były w zarysie przygotowane. I się zaczęło.

Setki przejranych stron internetowych, szukanie najkorzystniejszych ofert lotniczych i wybieranie jakiegoś lokum na początek. Tygodnie spędzone w internecie. Zakupiony program do nauki języka tajskiego, żeby poznać choć podstawowe zwroty. To nie dwutygodniowy wyjazd z biurem turystycznym do czterogwiazdkowego hotelu, to wyprawa życia – wszystko wyszukane i organizowane na własną rękę, bez pomocy jakichkolwiek agencji.

Po prawie sześciu miesiącach przygotowań, w nasze paszporty wbite zostały wizy tajlandzkie. 16 listopada 2016 roku wyruszyłyśmy ukraińskimi liniami lotniczymi po raz pierwszy do Tajlandii. Leciałyśmy przez Kijów do Bangkoku, a stamtąd liniami krajowymi na Phuket.

Pierwsza wyprawa do Tajlandii – rok 2016/2017

Podróż z przygodami

Początek podróży niefortunny. Zaczęło się od godzinnego opóźnienia samolotu do Kijowa, który przywitał nas mrozem z temperaturą minus siedem stopni i zaśnieżonym

lotniskiem. Ubrana w lekką koszulę z krótkimi rękawkami i przykryta jedynie chustą, wychodziłam na oblodzone schodki samolotu, żeby przejść do czekającego na nas autobusu. Okazało się, że największe lotnisko Ukrainy nie używa czegoś takiego jak rękawy. A potem było już tylko gorzej. Po prawie sześciu godzinach spędzonych na lotnisku znalazłyśmy się w końcu w samolocie, w którym nie działał system wodny. Siedząc na swoich miejscach, ponad dwie godziny czekaliśmy na jego naprawę. Kiedy po usunięciu usterki ruszyliśmy z miejsca, samolot się zatrzymał, tym razem w celu jego odmrożenia. Ogromne maszyny łały jakieś ciecze na dach, kadłub i skrzydła. Kolejna godzina siedzenia w samolocie. W końcu jednak udało się wystartować, choć w wyniku tych wszystkich niezapowiedzianych działań pozostał lekki niepokój.

Po spędzeniu w sumie trzynastu godzin w jednym samolocie i praktycznie nieprzespanej nocy, wylądowałyśmy w końcu w Bangkoku z ogromnym opóźnieniem i z perspektywą spóźnienia się na następny samolot na Phuket. Jedyнным pozytywnym zjawiskiem w czasie tego lotu był przecudowny widok wschodzącego słońca.

Samo lotnisko w Bangkoku jest ogromne. Ogromna też była kolejka do odprawy paszportowej, a sam transfer z przylotów międzynarodowych na loty krajowe zajął potwornie dużo czasu i kosztował nas sporo nerwów. Zdążyłyśmy w ostatniej chwili. Po wielkim aerobusie ukraińskich

linii lotniczych, bardzo miłą niespodzianką okazał się samolot linii THAI. Dużo miejsca, przestrzennie, urocze tajskie stewardessy, napoje, kanapki, no i tylko godzina lotu.

I tu rada dla tych, którzy tą samą drogą będą próbowali się dostać na Phuket. Z uwagi na potworne kolejki do odprawy paszportowej i powolny sposób odprawiania pasażerów przez tajskie służby, bilety na Phuket należy rezerwować z dużą rozważą, biorąc pod uwagę nie tylko stratę czasu przy odprawie, ale także czas na odebranie bagażu i późniejszego transferu na lotnisko krajowe i wszelkie przejścia *security*. I co najważniejsze – jeśli nie ma się zamiaru spędzić ani jednej nocy w Bangkoku, należy kupować bilety na Phuket z tego samego lotniska, czyli Bangkok-Suvarnabhumi. Obsługuje ono wszystkie loty zagraniczne i z niego przechodzi się na lotnisko krajowe o tej samej nazwie. W Bangkoku jest jeszcze jedno krajowe lotnisko – Don Mueang, skąd także można się dostać na wyspę, ale znajduje się ono po drugiej stronie miasta i dojazd do niego zajmuje zwykle ponad dwie godziny. Grozić to może spóźnieniem się na zarezerwowany lot.

Kiedy dotarliśmy na Phuket, wyjście z klimatyzowanego lotniska na duszną ulicę było ogromnym szokiem. Jest to ostrzeżenie dla każdego, kto po raz pierwszy stawia stopę na południu tajskiej krainy, w dodatku w sezonie. Sauna to mało powiedziane. Gorąco i wilgoć po prostu zatykają płuca. Na to nie byliśmy przygotowani. W następnych latach wie-

działam już, co mnie czeka, ale tego dnia z lękiem myślałam o dalszym tu pobycie. Zastanawiałam się, czy damy radę żyć w tym klimacie kilka następnych miesięcy.

Z lotniska odebrała nas, zamówiona przez hotel i na szczęście klimatyzowana, taksówka. I jeśli komuś się wydaje, że był to już najłatwiejszy fragment podróży, to jest w dużym błędzie. Na nieszczęście przyleciałyśmy w czasie, w którym Tajowie kończą pracę i wracają do domów. Jezdnie opanowane były przez jadące jeden za drugim samochody i setki, jeśli nie tysiące skuterów. Rzeka pojazdów. Nasza podróż trwała ponad dwadzieścia pięć godzin, ale w końcu byliśmy u celu. Serdecznie powitane w hotelu, udałyśmy się do naszego pokoju. Po zmyciu z siebie tych wszystkich godzin podróży zapadłyśmy w sen niedźwiedzi, nie zwracając uwagi na to, że w Polsce była właśnie godzina 16:00. Tu była 22:00. I tak się zaczęła nasza przygoda z Azją i Tajlandią.

Patong Beach

Nie mając zielonego pojęcia o warunkach panujących w miejscowościach na Phuket, wybrałam na nasz pierwszy wyjazd, jak się później okazało, najbardziej przepełnioną turystycznie miejscowość o nazwie Patong Beach. Miejsce, które słynie z jednej z najdłuższych i podobno najpiękniejszych plaż na wyspie, jest najbardziej rozwinięte pod kątem

turystycznym, a przez to najbardziej oblegane. Dodatkowym powodem były stosunkowo akceptowalne koszty zamieszkania, w czym niemałą rolę odgrywała pewnie panująca tu konkurencja w ogromnej ofercie hotelarskiej. Oczywiście nie mówimy tu o hotelach przy plaży czy w małej od niej odległości. W takich hotelach ceny kształtowały się już na o wiele wyższym poziomie. I tak jak pewnie w każdej nadmorskiej miejscowości, ceny spadały wraz ze zwiększającym się dystansem od plaży.

Dla osób poszukujących raczej spokojnego wypoczynku, bardziej ciszy niż ogromnego gwaru, Patong z pewnością nie jest odpowiednim miejscem. Dnie i noce są tu pełne hałasu, wędrujących tłumów, stojących w korkach samochodów i oczywiście tysięcy skuterów. To miejsce dla tych, którzy lubią się bawić, widzieć dookoła siebie setki ludzi, którym nie przeszkadza kakofonia wszelakiego rodzaju dźwięków dobiegających z barów czy restauracji; tych, których bawią zakupy, chodzenie po mniejszych i większych sklepach, rozmaitych bazarach, knajpach i korzystanie z rozmaitych atrakcji, jakie oferuje to miejsce. Ale o tym przekonałyśmy się trochę po czasie. I już w następnych latach nawet do głowy mi nie przyszło ponownie szukać tam kwatery. Jest to miejscowość, którą oczywiście warto zobaczyć i przez chwilę wczuć się w tę, jakże komercyjną, atmosferę, ale dla takich jak ja, to miejsce jest dobre tylko na chwilę. I tak je w późniejszych latach traktowałam.

W tej pierwszej podróży spędziłyśmy tam z Ewą prawie trzy tygodnie, korzystając z uroków plaży, spacerując – nie tylko po centrum, ale i po zapleczu Patongu – i robiąc, przede wszystkim, odzieżowe zakupy (od ilości ciuchów bolały nas oczy!). Skorzystałyśmy również z wycieczek morskich i lądowych. Mieszkałyśmy w tym czasie w dwóch hotelach, raczej oddalonych od plaży, ale nie aż tak bardzo, żeby nie można było dojść do niej pieszo. Obydwa miały duże, przestronne pokoje, w miarę spokojną lokalizację, serwowały przyzwoite śniadania i miały przemiłą obsługę. Obsługa zresztą była miła wszędzie. Tajowie to taki dziwny naród – wiecznie uśmiechnięci, mili, przyjaźnie nastawieni do świata i ludzi, tolerancyjni i nieskłonnii do kłótni. Może, jak na pierwsze chwile pobytu w Tajlandii, wybór tego miejsca nie był taki zły. Pozwalał zobaczyć wiele rzeczy na raz, zdobyć trochę wiedzy o panujących tutaj warunkach i zwyczajach, a dodatkowo nabyć pewnego doświadczenia w poruszaniu się po tym nieznanym jeszcze przez nas lądzie – Tajlandia w małej pigułce. Wiedza zdobyta tutaj przydała nam się później w dalszej podróży po kraju. Jednocześnie wszechobecna tu konkurencja pozwalała nam na wybór tańszych produktów, negocjowanie, wybieranie wycieczek po niższej cenie, znajdowanie tańszych barów czy restauracji, co także nie było bez znaczenia. W końcu każda z nas dysponowała skromnym emerytalnym budżetem. Co prawda, przelicznik walutowy w tamtym okresie

dawał nam sporą przewagę nad wynagrodzeniami Tajów, ale koszty nie były nam obojętne. Liczyć jednak zaczęliśmy trochę później, bo na początku ceny nas po prostu oszołomiły. I to pozytywnie. Nasze dziesięć złotych to było „ichniejsze” sto batów, a za sto batów mogliśmy razem zjeść obiad, kupić fajną sukienkę czy tajskie spodnie. Za jedyne dwieście batów można już było dostać rewelacyjne sandały albo objechać tuk-tukiem prawie całe miasto czy pójść na cudowny tajski masaż.

Patong jednak to nie tylko plaża, bary, różnego rodzaju atrakcje i ładne hotele. Na tak zwanym zapleczu Patongu, z dala od głównych ulic, mieszkają ci najbiedniejsi. Zapuszczone domki, małe warsztaty, co parę kroków pralnie i ma-lutkie – na dwa, trzy stoliki – jadalnie, gdzie jakaś Tajka lub Taj, wrzuca coś do woka, zakręci, podsmaży i serwuje do jedzenia. Można pomyśleć, że nawet w tym miejscu Tajowie nie gotują w swoich domach, tylko stołują się w takich właśnie drobnych miejscach. To także teren tych, którzy utrzymują się z ciężkiej pracy w swoich małych „przedsiębiorstwach” – wspomnianych pralniach, warsztatach, salonikach masażu czy z gotowania na małych wózekkach street foodu z przygotowanych we własnych „lepiankach” produktów. I pomimo tego, że miejsca ich zamieszkania nie są zbytnio atrakcyjne, Tajowie są bardzo czystym narodem, a przygotowywane przez nich jedzenie można jeść bez obaw o wystąpienie jakichkolwiek przykrych dolegliwości. Większość tych

Tajów pracuje ciężko sześć, jak nie siedem, dni w tygodniu na rzecz obsługi nie tylko turystów, ale także swoich rodaków. I tak jest zresztą w całej Tajlandii. Przechadzki po zapleczu Patongu pozwalały nam dostrzec rzeczy, których zwykle nie ogląda przeciętny turysta.

Wyjątkowym kuriozum jest na przykład tamtejsza sieć energetyczna. Tysiące powiązanych ze sobą kabli wiszących nad głowami przechodniów. Nieprawdopodobny widok. Sieć ta otaczała zarówno wałce się zabudowania, jak i eleganckie hotele. Odnosiło się wrażenie, że każde mieszkanie, każde lokum posiada swój kabelek. Za każdym razem – i wtedy, i w kolejnych podróżach – patrzyłam na tajskich monterów pracujących na drabinach lub wiszących na słupach, próbujących znaleźć właśnie ten drucik, który nawalił, zastanawiając się, czy jest to w ogóle możliwe. A nawalały dosyć często, i czasami zapadały egipskie ciemności w poszczególnych dzielnicach lub nawet w całym miasteczku. Wiem, że obecnie planuje się w Tajlandii stworzyć sieć energetyczną pod ziemią, ale chyba jeszcze trochę przyplływów i odpływów minie, zanim to nastąpi. Będzie to z pewnością kolosalne przedsięwzięcie.

Następnym miejscem, do którego warto było choć na jeden dzień pojechać jest Phuket Town, stolica wyspy. Oprócz wielu świątyń, wspaniałych, kolorowych bazarów i bardzo przyjemnych knajpek jest tu szalenie urokliwa starówka, gdzie domy mienia się wszystkimi kolorami tęczy. Chodze-

nie po niej i oglądanie tych wesołych kamieniczek jest naprawdę warte zachodu. Przy okazji można zrobić oczywiście nieprzebraną ilość zakupów.

A z Phuket Town już niedaleko do – podobno najpiękniejszego – miejsca widokowego na południowym wybrzeżu tej wyspy, Promthep Cape. Tutaj przyjeżdżają wszyscy, by robić malownicze zdjęcia zachodu słońca. Tubylcy mówią, że wizyta tu jest wręcz obowiązkowa. Nie być tutaj, to znaczy nie być na Phuket. Oczywiście i my musiałyśmy to zobaczyć. Za pierwszym razem te dwa miejsca obejrzałyśmy dzięki poznałej wcześniej parze młodych Tajów, z którymi do dzisiaj jestem w kontakcie, i dla których zostałam w końcu przybraną polską ciotką. W późniejszych latach dzięki nim poznałam całkiem spory obszar Tajlandii.

W międzyczasie wybrałyśmy się także na jednodniową wycieczkę po Phuket. Wszystkie atrakcje zaplanowane były co do minuty, czyli – mówiąc po naszymu – motorem przez muzeum. Uznałyśmy, że dzięki temu obejrzymy większość z nich za jednym zamachem zamiast wyjeżdżać co i rusz na wycieczki, które zajmowały pół dnia. W końcu aż tyle tego tu nie było...

Jadąc zgodnie z przedstawionym harmonogramem wycieczki, pierwszy postój miałyśmy w jednym z bardziej znanych punktów widokowych na Phuket, zwanym Kata View Point. Widać było z niego panoramę zachodniej strony wyspy obejmującą także kilka pobliskich plaż. Stamtąd

dotarliśmy do czegoś, co się nazywało „Mini Phuket Zoo Safari”. Czekaly tu na nas podobno interesujące atrakcje. Po całym pobycie w tym miejscu wyszło na to, że prócz momentów obcowania ze słoniami, cała reszta była raczej smutna i żalсна. Obejmowała ona między innymi możliwość pogłaskania nieszczęśliwych, małych małpiatek, umieszczonych w otwartych klatkach i przetrzymywanych na łańcuszkach, minifarmę orchidei, w której kwiatów praktycznie nie było, a na końcu odbyło się jeszcze żenujące *show* małp i *show* węży. Obydwa występy, zwłaszcza u osób kochających zwierzęta, wywołać mogły jedynie poczucie niesmaku. Jednym słowem – ta część harmonogramu nie była warta ani pieniędzy, ani spędzonego tam czasu. Ostatnią niby atrakcją była jazda na słoniu. Byliśmy dopiero dwa tygodnie w Tajlandii i nie zdawałyśmy sobie jeszcze sprawy z tego, że akurat tego robić nie powinnyśmy. Już nigdy więcej nie usiadłam na słoniu, choć tego dnia było to faktycznie spore przeżycie. Przez całą drogę towarzyszyły nam komentarze lekko przestraszonej Ewy.

I tu muszę szczerze powiedzieć, że żadnej z powyższych rozrywek nie polecam. Niestety, działania komercyjne prowadzone przez Tajów dla turystów obejmują także tresurę zwierząt, która nie zawsze prowadzona jest w sposób humanitarny. Gdyby nie było popytu na te wątpliwe, naszym zdaniem, atrakcje, byłaby szansa zakończyć ten proceder. Wielka szkoda, że jednak tak wielu ludzi traktuje to jako za-

bawę i chętnie w takich wycieczkach uczestniczą. Mnie już nikt więcej do tego nie namówi!

Kiedy wsiadałyśmy ponownie do busika, wyszło na to, że pięć atrakcji z programu wycieczki zaliczyliśmy za jednym podejściem. Biorąc pod uwagę ich jakość, zastanawiałam się czy faktycznie było warto brać w niej udział. Później, na szczęście, było coraz lepiej. Na trasie wycieczki znalazł się Wielki Budda (Big Buddha) – statua o wysokości czterdziestu pięciu metrów, usytuowana na największym wzniesieniu Nakkherd Hills i widoczna z wielu punktów południowej części Phuket – oraz dwie świątynie: Chalong Temple i China Temple, czyli świątynia tajska i chińska.

Chalong Temple to cały kompleks trzech świątyń położonych na dość dużym obszarze. Przede wszystkim zwiedza się tę największą, do drugiej, mniejszej mogą jedynie wejść buddyści, w trzeciej, też niewielkiej, modlić się mogą wszyscy. Co ciekawsze, do tej trzeciej można wejść z uprzednio zakupioną wiązką kwiatów i w pozycji siedzącej wypowiedzieć ci-chutko swoje największe życzenie. Jeśli się ono spełni – nawet po wielu latach – należy do niej wrócić i zapalić kadzidelko.

W każdym takim miejscu, pamiętać trzeba o odpowiednim ubiorze, czyli zakrytych ramionach i nogach przynajmniej za kolana. W innym przypadku trzeba wypożyczyć odpowiednie chusty i oczywiście za to zapłacić. Przed wejściem do każdej świątyni zdejmujemy buty i bez obaw zostawiamy na zewnątrz. Naprawdę nie kradną.

I tu taka mała dygresja – z tymi butami jest w Tajlandii jakaś dziwna sprawa. Bardzo często trzeba zdjąć buty, wchodząc do małych sklepów, aptek, gabinetów masażu no i oczywiście, wchodząc do wielu tajskich lub chińskich domów. Nawet wynajmując sobie jakieś lokum w postaci małego bungalowu, buty najczęściej zostawia się przed wejściem do środka. Dlatego też, zanim postawi się krok do różnego rodzaju pomieszczeń, warto zerknąć, czy przed drzwiami do niego nie stoi już jakieś obuwie. Oznacza to zazwyczaj, że należy swoje zostawić na zewnątrz, chyba że właściciel zdecyduje inaczej. Dlatego chodzenie po Tajlandii w klapkach jest naprawdę bardzo wygodne.

China Temple była skromniejsza w swojej postaci, aczkolwiek istniejąca struktura kryła w sobie resztki świątyni zbudowanej ponad sto lat temu.

Po świątyniach czekały nas jeszcze dwie inne atrakcje – wizyta w fabryce nerkowców i w wytwórni biżuterii.

Czy wiecie, dlaczego orzeszki nerkowca są takie drogie? Drzewo nerkowca wydaje owoce, które kształtem przypominają lekko gruszkę. Jeden owoc posiada tylko jedno nasiono – jest nim okryty skorupką orzeszek. Żeby zjeść dziesięć orzeszków, trzeba urwać dziesięć takich gruszek. Ale to nie koniec. Po wstępnej obróbce nasion nerkowca każdy jeden orzeszek wydobywany jest ze swojej skorupki ręcznie! Z uwagi na różne kształty nasion, nie można tego procesu zautomatyzować, ponieważ żadne urządzenie by so-

bie z tym nie poradziło. Dlatego przy czymś takim, co trochę przypomina kształtem maszynę do szycia, a tak naprawdę jest ręcznym dziadkiem do orzechów, siedzi człowiek i rozłupuje każde nasiono, wydobywając z niego naszego ulubionego orzeszka. Myślicie, że to już? Nie, potem inny człowiek ręcznie zdejmuje z niego skórkę i dopiero teraz można go zacząć przetwarzać na różnego rodzaju przysmaki: w miodzie, z wasabi, z czekoladą, z chili, cebulą, czosnkiem i na wiele innych sposobów. Kupując nerkowce, płacimy za bardzo ciężką i raczej mało płatną pracę, którą wykonują w większości tajskie kobiety.

Następna wizyta osobiście była dla mnie ogromną katorgą. Jestem niestety „sroką” i kocham wszelkie błyskotki. Na szczęście wolę oprawione w srebro, choć pewnie białym złotem lub platyną również bym nie pogardziła. Wizyta w wytwórni biżuterii była najtrudniejszym etapem tej wędrówki. Przed oczami pojawiły się nam setki pierścionków, bransoletek, naszyjników wysadzanych tutejszymi, szlachetnymi kamieniami. Mieniły się rubiny, szafiry, perły i diamenty w połączeniu ze srebrem, platyną, białym i żółtym złotem. Każdą osobę z wycieczki oprowadzały co najmniej dwie osoby z tutejszego personelu – częściowo po to, by chronić swoje skarby, a częściowo po to, by namówić biednego turystę do zrobienia zakupów. Dla kogoś takiego jak ja – koszmar. Nie wiadomo na czym oczy zawiesić. Panie z obsługi z dziką radością wyciągały co ładniejsze sztuki do

przymierzenia i z uroczym uśmiechem twierdziły, że jeśli się zdecyduję, to menedżer z pewnością da mi duży rabat. I faktycznie - z 16500 schodziły nawet do 15000 THB (na ówczesne czasy było to 1500 PLN). Na szczęście ceny ostudziły mi trochę głowę i z ogromną ulgą wydostałam się stamtąd na zewnątrz. Byłam bardzo dumna z faktu, że udało mi się niczego nie kupić.

Po - nie do końca udanych - atrakcjach zorganizowanych przez agencję turystyczną spotkałyśmy się z Kiu i Be-rem, wspomnianą już wcześniej parą młodych Tajów. I to właśnie oni pokazali nam po raz pierwszy inny kawałek tego kraju. Jeszcze przed opuszczeniem Patongu zabrali nas na cudowną małą wysepkę, na której nareszcie mogłyśmy zobaczyć prawdziwszą stronę Tajlandii. Dwa dni spędzone na Koh Yao Noi przyniosły dużo radości - podróż rejsową łodzią na wyspę, widok lasów mangrowych i pól ryżowych, spacer do małych, ale jakże urokliwych, wodospadów, do domów i maleńkich restauracji na palach i chodzenie po praktycznie pustych plażach. Była także wyprawa łodzią na piaskową łachę, odkrytą wyłącznie w czasie odpływu, z tysiącem małych i większych, szybko poruszających się krabów, potem podróż na następną mikroskopijną wysepkę, gdzie po wejściu na szczyt znajdującej się tam skały, można było podziwiać wspaniały widok na wyspę i otaczające je morze.

Popłynęliśmy także na fantastyczną farmę rybną na środku zatoki, gdzie w wielkich, drewnianych klatkach,

wpuszczonych w głąb wód, zobaczyć można było najprzeróżniejsze gatunki morskiej fauny. Dopiero tutaj tak naprawdę poczułyśmy radość z przyjazdu do Azji. Zakochałam się w tej małej wysepce pełnej niezwykle widoków, w jej klimacie, spokoju i w braku tłumów. Przez następne lata wracałam tutaj wielokrotnie. Jeśli ktoś szuka spokoju, ciszy, kocha spacerować i ciche, urokliwe knajpki, małe miasteczka i puste plaże – to miejsce jest dla niego. A dodatkowym plusem jest to, że koszty pobytu tutaj nie rujnują zbytnio budżetu. Pod warunkiem oczywiście, że ma się normalne wymagania, a nie zapędy do wielogwiazdkowych hoteli i luksusu. To w całej Tajlandii ma swoją cenę.

Nai Yang

Pomimo tak wielu atrakcji z Patongu wyjeżdżałyśmy, można powiedzieć, z radością, trochę już zmęczone jego zbyt turystyczną jak dla nas atmosferą. Następne tygodnie na Phuket spędziłyśmy w miłym, cichutkim hotelu na Nai Yang. Do dzisiaj uwielbiam to miejsce, właścicieli i plażę, która to, jeśli chodzi o mnie, jest właśnie najwspanialszą plażą na tej wyspie.

Jest kompletnie różna od tych, które widzi się na Phuket. Wolna od tłumów, otoczona pięknym kompleksem Parku Narodowego Sirinat, odmienna w swej urodzie zwłaszcza od plaży na Patongu czy też w innych miejsco-

wościach, obleganych w sezonie. Plaża, na którą w dużej mierze przyjeżdżają sami Tajowie, spędzający tu swój wolny czas w weekendy, siedząc albo na samej plaży, albo na terenie przylegającego do plaży parku. Odpoczywają całymi rodzinami, grillując swoje własne potrawy i ciesząc się z chwilowego wypoczynku. Wielkie drzewa Parku Sirinat pochylają się nad plażą, tworząc sporo cienia, w którym można się przyjemnie zanurzyć. Niektóre z nich można zobaczyć powalone razem z ich wielkimi korzeniami i rozłożystymi gałęziami. Na piasku natomiast można znaleźć więcej muszli i wałających się skrawków pobliskiej rafy koralowej niż gdziekolwiek indziej. Nawet sam piach ma tu trochę inną gramaturę i nie „rzuca się” na człowieka, jak na Patong Beach. A zachody słońca w tym miejscu są nieprawdopodobnie piękne, bo żadna góra czy wyspa nie zasłania horyzontu.

Oczywiście i tutaj znaleźć można kilka kompleksów wypoczynkowych zlokalizowanych przy plaży czy przy drogach do niej prowadzących, ale chyba z uwagi na brak zbyt wielu atrakcji w najbliższej okolicy plaże nie są bardzo zatłoczone, a turystów jest o wiele mniej. Bliskość parku narodowego wstrzymuje także rozbudowę dużych ośrodków czy hoteli w niewielkiej odległości od morza.

Wybrałyśmy to miejsce z uwagi na bliskość lotniska, z którego w niedalekiej przyszłości miałyśmy odlatywać do Malezji. Na miejscu okazało się, że – przypadkowo wybrany

na serwisie internetowym *Booking.com* – hotel położony jest całkowicie na uboczu głównych arterii. Nareszcie miałyśmy z okien widok na las kuczukowy i niemożność poruszania się pojazdów pod naszymi oknami. Zupełnie inne powietrze i jego zapach. Wieczorami koncerty cykad. Przestronny, ładny pokój z balkonem, czysto i cichutko, a cena całkowicie do przyjęcia. Wspaniali właściciele i przemiła obsługa, mówiąca – o dziwo – całkiem dobrze po angielsku.

Jedynym mankamentem był dystans do plaży, do której dojście zajmowało nam spacerkiem ponad pół godziny i brak, w tamtym czasie, restauracji na miejscu. Jakoś sobie z tym poradziłyśmy, a przyjemność przebywania w tym hotelu i w tej miejscowości, rekompensowała nam tę, w sumie drobną, niedogodność. W końcu spaceru na plażę poprawiały nam kondycję fizyczną i wychodziły nam tylko na zdrowie. Tym bardziej, że drogi prowadzące do plaży były prawie puste i szłyśmy przez większość czasu wśród pól i traw, po drodze mijając coś, co przypominało nam bardziej wioski lub małe osiedla, niż główne drogi miejskie. A czasami bywało i tak, że zatrzymywał się przy nas jakiś uprzejmy kierowca, który z uśmiechem i za darmo podwoził nas w wybrane miejsce. Wracając z plaży jadłyśmy późne obiady w małych restauracjach, próbując dań przygotowanych trochę inaczej niż na Patongu.

Sama miejscowość Nai Yang różni się w swym obrazie od zatłoczonego, pełnego ruchliwych ulic, knajp, gabi-

netów masażu, straganów i masy turystów Patongu. Przede wszystkim jest to miejsce normalnego życia Tajów, gdzie turystyka jest raczej dodatkiem niż motorem i głównym kierunkiem działań tutejszych mieszkańców. Na ulicach widać więcej tubylców, a turyści nie wychodzą na plan pierwszy. Spotyka się tutaj małe osiedla ładnych i zadbanej domków, chociaż nie brakuje także małych lepiarek, wokół których teren przypomina wysypisko śmieci. Nai Yang to także miejscowość, w której znajduje się międzynarodowe i krajowe lotnisko i to właśnie tutaj ląduje się po przybyciu na Phuket.

Można stąd wyruszyć bezpośrednio do kilku innych miast w Tajlandii czy do innych państw w Azji. Oprócz narodowych linii lotniczych THAI, loty do innych krajów obsługują także malezyjskie linie lotnicze AirAsia, które można byłoby – ze względu na ich przystępną cenę – porównać do irlandzkich linii Ryanair czy węgierskich Wizz. I faktycznie – koszty przelotów są sporo niższe, chociaż tajskie linie również nie są zbyt drogie. Niestety z AirAsia jest jeden poważny problem – bardzo często mają opóźnienia w odlotach. To bez troskie podejście do klienta czasami zniechęca do korzystania z ich usług, choć obsługa jest zawsze naprawdę bardzo miła. W wielu przypadkach, lecąc z Tajlandii do innych miast czy krajów, korzystałam oczywiście z tych linii, ale nauczona raz i drugi przykrym doświadczeniem, brałam to pod uwagę w swych planach.

I właśnie na Nai Yang spędziłyśmy święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. W Tajlandii nie obchodzą Bożego Narodzenia, ale na potrzeby turystów, pojawiły się gdzieś tam napisy *Merry Christmas*. Udekorowano również drobnymi ozdobami hotele i niektóre restauracje. Ozdoby pojawiły się przede wszystkim bliżej plaży, czyli tam, gdzie tych turystów było więcej. W holu naszego hotelu też stała ubrana świątecznie choinka. Samą Wigilię uczciłyśmy kolacją w małej restauracji, zakrapianą tajskim piwem i wróciliśmy do hotelu w znakomitych nastrojach. Bez bieganiny po sklepach, robienia nie wiadomo jakich zakupów, stania godzinami w kuchni i siadania zmęczonym do stołu. W hotelu Ewa wyłuskała, specjalnie ukrytą na tę chwilę, polską czekoladę i choinkowe cukierki, co perfekcyjnie uzupełniło ten świąteczny wieczór. I było to o tyle miłe, że na prawdziwą czekoladę jeszcze nie udało nam się tam trafić. Były różnego rodzaju ciasteczka oblane czymś czekoladopodobnym i coś, co przypominało batoniki, ale czekolady jako takiej nie było. Łasuchy jadąc do Tajlandii powinny się w nią zaopatrzyć w kraju. Pozostałe dni świąteczne niewiele różniły się od dotychczasowych.

Nowy Rok przywitałyśmy na plaży. Większość przybyłych na nią gości składała się z Tajów. Wielu z nich koczowało tam już praktycznie od rana i wielu zostało na noc. Na plaży ustawiono świecące dekoracje, restauracje wyniosły na zewnątrz stoliki i krzeselka, najczęściej zajmowane

przez przebywających tutaj turystów. W rękach wielu ludzi znajdowały się jakieś świecące cacka, a w niektórych miejscach rozpalono małe ogniska. Do tego dochodził szum morza... Przed północą słychać było głośnie odliczanie. I tak, o sześć godzin wcześniej niż w Polsce, weszliśmy w nowy rok. Przed pójściem na plażę właściciele hotelu zaprosili nas na prywatną, tajską kolację, co było z ich strony bardzo miłym gestem.

Choć oficjalnie w Tajlandii Nowy Rok obchodzi się pierwszego stycznia, to tak naprawdę Tajowie świętują go w kwietniu. Jest to podobno niezwykle huczne, kolorowe i wesołe wydarzenie, które trwa aż trzy dni, i podczas którego panuje tradycja polewania się wodą na szczęście. Woda ma tam bogatą symbolikę i stanowi motyw przewodni tej corocznej zabawy.

Wyspa Bonda

Jeśli ktoś lubi wodne wycieczki, a niektóre z nich są naprawdę rewelacyjne, może się wybrać na słynną Wyspę Bonda. Nazwa bardzo znana, bo właśnie tutaj nagrano kiedyś sceny do jednego z filmów o słynnym agencie. Będąc już w nowym miejscu, wybrałyśmy się na nią i my. W naszym przypadku, było to jedno wielkie rozczarowanie, ale pewnie znajdzie się wielu ludzi, którym się ta wyprawa spodoba. Jadąc tam w sezonie, warto wiedzieć, czego się można spodziewać. Wy-

spa sama w sobie oczywiście urokliwa, ale to jedna wielka komercja. Do maciupkiego nabrzeża dobijają, jedne za drugą, dziesiątki łodzi, wysypując na ten skrawek ziemi setki turystów. W tym tłumie trudno się nawet poruszać i jest to jeden wielki koszmar. A jakby tego było mało, większość powierzchni zajmują tam dziesiątki straganów, w których turysta może zakupić tak zwane mydło i powidło. Według mnie – tragedia. Gdyby ktoś chciał obejrzeć tę wyspę rzetelnie i w spokoju, to trzeba tam jechać o zupełnie innej porze roku, czyli już po szczycie sezonu, który trwa tu od grudnia do marca. Podobno w pozostałych miesiącach nie ma tam tylu ludzi. Widok z wyspy jest oczywiście bardzo ładny, zwłaszcza na często pokazywaną i reklamowaną w internecie samotną i malowniczo położoną skałę w bliskiej odległości od wyspy, ale nie zdołało to zrekomensować nam pozostałych, niekoniecznie miłych, wrażeń.

Za to w drodze na wyspę ciekawą atrakcją jest przepłynięcie kajakami pod skalnymi sklepieniami do małych, spokojnych oczek wodnych, utworzonych w głębi pasma górskiego, piętrzącego się na pełnym morzu. I piękniej, i luźniej, choć oczywiście nasz kajak nie był jedyny. Za to wrażenia były o wiele bardziej pozytywne niż na samej Wyspie Bonda.

W powrotnej drodze trafia się najczęściej do wioski wodnej, gdzie zwykle przygotowany jest lunch, a potem do Suwankuha Temple – Monkey Cave. Jest to świątynia w środ-

ku góry z ogromnym posągiem leżącego Buddy i z możliwością wejścia wyżej do wnętrza powstałej tam jaskini. Wspomniały widok i o ileż bardziej naturalny od wybudowanych wszelakiego rodzaju świątyń, kąpiących złotem i przepychem. Spacer wokół niej pozwala na kontakt z oblegającymi ją wokół małpkami, które bardzo chętnie przyjmują wszelkie podawane im pożywienie.

Z wodnych wycieczek polecany jest jeszcze kompleks wysp Phi Phi. Mówi się, że wyspy te są bezsprzecznie najpiękniejszymi wysypami Tajlandii, choć w kolejnych latach, pływałam również na wiele innych, które nie odbiegały zbyt swym urokiem od Phi Phi. Kompleks wysp Phi Phi położony jest między Phuket a stałym lądem Tajlandii. Największa z nich to Koh Phi Phi Don. Jest jeszcze Koh Phi Phi Leh, przy której znajduje się słynna zatoka Maya Bay, rozsławiona na cały świat przez Leonarda DiCaprio. Tajowie są ogromnie z niej dumni, bo zarówno tamtejsza, praktycznie bielusińska, plaża z miłym jak mąka piaskiem, jak i jej otoczenie razem ze szmaragdowym kolorem wód, pozostawiają niezapomniane wrażenia. Natomiast, jak to zwykle bywa, przy ogromnej reklamie tego miejsca, obydwie wyspy są przesadnie oblegane przez turystów i na to trzeba się nastawić, planując tu pobyt. No i oczywiście należy się liczyć się z dużymi kosztami. Sława robi swoje.

Na Nai Yang spędziłyśmy z Ewą dwadzieścia pięć pełnych relaksu dni, ciesząc się właściwie wszystkim – wodą,

spokojną plażą, spacerami, zakupami w małych sklepikach czy na tutejszym bazarku, jedzeniem w małych restauracjach lub w jeszcze mniejszych barach, wspaniałymi tajskimi masażami i próbowaniem różnego rodzaju owoców. Tu poznałyśmy po raz pierwszy smak małych bananów z pestkami. Czy wiecie, że niektóre banany mają pestki? Mają, o czym same mogłyśmy się przekonać. Cieszyłyśmy się tym wszystkim, tym bardziej że miały to być nasze ostatnie dni kontaktu z wyspą, morzem i południem Tajlandii.

Pozostając w jednym miejscu tyle czasu, miałyśmy szansę poznać wielu wartościowych ludzi i zaprzyjaźnić się z właścicielami naszego hotelu. Przyjaźń z nimi trwa do dzisiaj i za każdym razem, gdy lecę do Tajlandii, spędzam tam zawsze pierwsze kilka dni po wylądowaniu i kilka dni przed odlotem. Nazywają mnie tam siostrą, co w Tajlandii oznacza braterskie uczucia i przyjęcie do kręgu najbliższych przyjaciół. Wracam tam, jak do drugiego domu i zawsze słyszę od nich, że to jest mój drugi dom i że zawsze tam na mnie czekają.

Pożegnanie z Phuket, a przede wszystkim z Nai Yang, przyniosło nutę żalu i łezkę w oku, zwłaszcza przy ostatnich uściskach z obsługą naszego hotelu. Byłyśmy prawdziwie wzruszone, gdy żegnając nas na lotnisku, Nok, siostra żony właściciela po prostu się rozplakała i płacząc pobiegła do samochodu. Wychodziło na to, że nie tylko nam było dobrze z nimi, ale że i my zostawiłyśmy po sobie miłe wspomnienia.

Następnym etapem naszej podróży była Malezja.

W tym miejscu należy umieścić krótką informację dla niezorientowanych w kwestii otrzymania wizy i pobytu w Tajlandii. Mamy prawo do przebywania w Tajlandii do trzydziestu dni bez wizy. Jeśli wyruszamy na dłużej, należy ubiegać się o wizę w ambasadzie Tajlandii w Warszawie.

Ambasady i konsulaty generalne królestwa Tajlandii mogą wydać następujące rodzaje wiz:

- » Wiza tranzytowa
- » Wiza turystyczna
- » Wiza non-immigrant
- » Wiza dyplomatyczna
- » Wiza służbowa
- » Wiza kurtuazyjna

Nas w większości interesuje wiza turystyczna. Przy wyjazdach na okres dłuższy niż trzydzieści dni ambasada wydaje wizę dwumiesięczną, uprawniającą do pobytu w Tajlandii do sześćdziesięciu dni. I tu są dwie opcje:

- » Wiza turystyczna uprawniająca do jednego wjazdu ważna przez trzy miesiące - koszt w 2016 roku to 120 PLN
- » Wiza turystyczna wielokrotna ważna przez sześć miesięcy - koszt w 2016 roku to 600 PLN.

A co w przypadkach, gdy chcemy przebywać w Tajlandii dłużej niż dwa miesiące? Wtedy niestety wiza jednokrotnego wjazdu nie wystarcza i należy starać się o wizę wielokrotną. Posiadacz takiej wizeny musi przed upływem sześćdziesięciu dni wybrać się do innego kraju, choćby, na jedną noc i po powrocie do Tajlandii otrzymać ponownie wizę na dwa miesiące. Wszystko tu musi się odbywać w ramach ważności wizeny, czyli w okresie sześciu miesięcy.

I tu ważna kwestia: aby nie stracić dwumiesięcznej wizeny, granice trzeba przekraczać drogą lotniczą. Przekraczanie granicy drogą lądową (Laos, Kambodża, Birma, Maledzja) przedłuża wizę jedynie o następne trzydzieści dni i automatycznie przekreśla otrzymanie wizeny dwumiesięcznej. Jeśli ktoś przyjeżdża do Tajlandii w ramach trzydziestodniowej wizeny, a chciałby swój pobyt przedłużyć, musi pamiętać, że obywatele Polski uprawnieni do zwolnienia z wizeny trzydziestodniowej mają prawo wjechać do Tajlandii bez wizeny przez przejścia graniczne lądowe, lecz tylko dwa razy w roku kalendarzowym.

Osoby zainteresowane tym tematem znajdą więcej informacji na stronie internetowej ambasady Tajlandii w Warszawie, a ponieważ w Tajlandii przepisy się często zmieniają, wizyta na tej stronie jest przed wyjazdem wręcz obowiązkowa.

Wariantem jest prośba o przedłużenie wizeny w Immigration Office, do którego się trzeba udać albo do Phuket

Town albo do oddziału na Patongu. Zazwyczaj dostaje się zgodę, ale tylko na miesiąc. Ponieważ ta opcja nas nie urządziła, stwierdziłyśmy, że mając taką okazję, zwiedzimy trochę Kuala Lumpur w Malezji i poznamy mały kawałek innej Azji.

Po powrocie z Malezji miałyśmy udać się na północ Tajlandii, do miasta Chiang Mai. I tym sposobem, 17 stycznia 2017 roku ruszyłyśmy na podbój innego kraju. I tutaj dobrze jest wspomnieć nasze, niefortunne wtedy, spotkanie z przepisami tajskimi przed samym odlotem. Odprawa wszystkich bagaży na Phuket odbywała się (i dalej się odbywa) jeszcze przed wejściem na lotnisko. Wszystkie bagaże musiały być prześwietlone przez maszyny monitorujące ich zawartość. Przy odprawie bagażu zarekwirowano nam naszą „straszną” broń na komary, muchy i inne niepożądane żyjątka. Wyjeżdżając z domu zabrałyśmy w celu obrony przed nimi elektryczne rakiety. Przyleciały z nami do Bangkoku a potem na Phuket, gdzie od czasu do czasu się przydawały. Przeszły wszystkie kontrole i, jak dotąd, nie przeszkadzały nikomu. Nagle okazało się, że jest to najwyraźniej, bardziej potężna broń niż sądziłyśmy, bo nie wpuszczono nas z nimi na lotnisko i wyciągnięto je nam z walizek. Usłyszałyśmy, że weszły nowe przepisy i tego wozić nie wolno. Nie pomogły żadne tłumaczenia, że to nasza własność, która została przywieziona z Polski. Jest to zakazane i koniec. Było to o tyle dziwne, że rakiety te bez ba-

terii przestają być groźne, bo po prostu nie działają. Nakaz wyjęcia z nich baterii i przełożenia do bagażu podręcznego, byłby zrozumiały, ale odebranie ich, ogromnie nas zaskoczyło. W ten sposób zostałyśmy pozbawione broni na dalsze dwa miesiące pobytu. I takich dziwnych zakazów i nakazów, zarówno formalnych jak i zwyczajowych, należy się spodziewać w Tajlandii więcej. Przykładowo w większości miejsc w Tajlandii można palić spokojnie zwykłe papierosy, natomiast jest zakaz palenia jakichkolwiek papierosów elektronicznych w miejscach publicznych. Można za to dostać porządny mandat. Taką decyzję podjął rząd tajski kilka lat temu i konsekwentnie się tego trzyma. I nieważne czy jest to papieros z liquidem czy typu IQOS, który już bardziej przypomina normalnego papierosa, nie wolno ulegać nałogom inaczej niż w sposób tradycyjny. Papierosy elektroniczne można palić wyłącznie w miejscach prywatnych.

O królu w Tajlandii najlepiej się nie wypowiadać i generalnie o rządzie też nie, a już z pewnością nie publicznie. W prywatnych rozmowach, twarzą w twarz z przyjaciółmi, jeszcze to jakoś może wyjść, ale już w większej grupie ludzi, lepiej na te tematy głosu nie zabierać. I nie daj Boże nadepnąć na coś, na czym widnieje wizerunek króla! Czy byłoby to nadepnięcie na banknot, który niechcący wypadł ci z ręki i chciałbyś go nogą przytrzymać, żeby nie odleciał, czy na jakiś malunek, obrazek lub plakat – każdy tego typu gest grozi poważnymi konsekwencjami i warto o tym

pamiętać. Osoby, które kochają wszystkie dzieci, powinny się kompletnie powstrzymać od głaskania ich po głowie, a i starszych głów nie należy dotykać. Głowa w Tajlandii stanowi najważniejszą część ciała i dotykanie czyjejs głowy nie tylko niczemu dobremu nie służy, ale jest także niemile widziane.

Malezja Kuala Lumpur

Lot do Kuala Lumpur trwał niecałe półtorej godziny i prawie tyleż samo dojazd do niego taksówką z lotniska. Jeśli chodzi o taksówki, to warto wiedzieć, że w hali przylotów (po przejściu jeszcze jednej kontroli bagażu, już przed samym wyjściem do hali) można w specjalnym punkcie zakupić albo bilety na autobus, albo tak zwaną kartę *prepaid* na taksówkę. Po podaniu adresu docelowego, panienka sprawdza w komputerze odległość i podaje kwotę do zapłacenia na miejscu. Z odpowiednim biletem idzie się do konkretnego wyjścia, gdzie stoją taksówki, daje taksówkarzowi taki bilecik i nic już człowieka nie obchodzi. Kurs jest opłacony, a kierowca może do celu jechać nawet przez Spitsbergen. Ani grosza więcej nie dostanie. Chyba że jakiś napiwek. Koszt dojazdu taksówki w 2017 roku to był wydatek 100-150 MYR, które my dla uproszczenia przeliczyliśmy jeden do jednego. Malezja była dużo droższa niż Tajlandia.

Spędziłyśmy w Kuala Lumpur dziewięć dni. Mieszkałyśmy w budżetowym hoteliku, gdzie pokoje były tak małe, że nie miałyśmy możliwości razem się zmieścić, dlatego trzeba się było zdecydować na dwa. Uznałyśmy jednak, że pokoje potrzebne są nam wyłącznie do spania i że przyjechałyśmy tu przecież zwiedzać, a nie w nich przesiadywać. I rzeczywiście tak było. Zwiedziłyśmy tu wszystkie warte zachodu obiekty. W dużej mierze obeszczyłyśmy miasto pieszo lub korzystałyśmy z autobusów i tamtejszego metra jeżdżącego raczej górą niż dołem. Do hotelu wracałyśmy wieczorami.

W Kuala Lumpur można korzystać nie tylko z rozwiniętej, płatnej sieci komunikacji publicznej, ale także z trzech linii bezpłatnych, które objeżdżają po obwodnicy w kształcie koła specjalnie wytyczone regiony. Są to linie: zielona, niebieska i purpurowa. Autobusami każdej z tych linii można było dojechać bezpłatnie w różne ciekawe miejsca tego miasta. Wykorzystałyśmy je wszystkie.

A co warto w Kuala Lumpur zobaczyć? Wszystko zależy pewnie od zainteresowań i czasu, jaki można na to poświęcić. My każdego dnia zwiedzałyśmy coś innego.

- » Chinatown – dzielnica chińska i przede wszystkim ogromny bazar chiński. Setki stoisk, na których klient znajdzie wszystkie, jak to oni mówią, „oryginalne” produkty. Zegarki, torby, perfumy, portfele, szmaty. Jeśli nie uda się zbić ceny o przynajmniej połowę, nie war-

- to niczego kupować. Podczas spaceru po Chinatown i jego okolicach można zobaczyć małe świątynie, bary, uliczne jedzenie. Ruch i korki ogromne. W niejednym klimatycznym barze można zjeść całkiem dobry obiad, a ceny posiłków uzależnione są od stylu, w jakim się będzie jadło – malajskiego, tajskiego czy już interkontynentalnego.
- » Petronas – być tutaj i tego nie zobaczyć, to po prostu grzech. Jadąc przez centrum miasta i stojąc przy tym w ogromnych korkach, mija się ogromne wieżowce, wielkie domy handlowe i witryny wypełnione samym dobrem. A swoją drogą, dlaczego w tych wschodnich krajach tak bardzo kochają się w kilometrowych budynkach? Szyja boli od zadzierania głowy w górę. Robienie zdjęć z tej perspektywy także nie jest zbyt łatwe. W samym Petronas znaleźć można wszystkie najsłynniejsze światowe marki. Część z nich można zobaczyć i u nas, część prawdopodobnie tylko w krajach zachodnich. Nasze warszawskie Złote Tarasy wyglądają przy tym jak zwykły supermarket. Jako pierwszy wyczuwa się tutaj zapach luksusu. A do tego kosmiczne ceny, choć często są to rzeczy, których nie chciałoby się dostać nawet za darmo. Inny styl ubierania się, inne kolory, nie takie materiały. Oczywiście nie wszystkie i nie wszędzie. Są także rzeczy oryginalne, na których warto zawiesić oko, ale tu już trzeba mieć przy sobie

mocno wypchane portfele. Wieczorem przed wejściem do galerii pokaz światła wodnych. Pewnie w Dubaju są piękniejsze, ale te też nie były najgorsze.

- » Birds Park – czyli park ptaków – naprawdę wart jest obejrzenia. Spacer po nim dostarcza wielu wrażeń, zwłaszcza że w przez większość czasu odbywa się on w towarzystwie najróżniejszych gatunków ptactwa. Teren parku jest dość duży, więc trzeba się przygotować na parogodzinną wycieczkę. Podzielony na poszczególne strefy, pozwala zobaczyć różnego rodzaju ptaki w ich naturalnym środowisku. Ptaki płaczą się pod nogami lub latają nad głowami, wydając przy tym najdziwniejsze odgłosy. Jest naprawdę na co popatrzeć. Jednocześnie w wielu miejscach ustawione są altanki, w których można sobie usiąść i odsapnąć. W parkowej kafejce można wypić kawę lub zjeść obiad, obserwując jednocześnie, jak różne ptaszyska zagląдают klientom do talerzy. Cena za wejście do parku kształtowała się w tamtym czasie na poziomie 50 MYR. I tu jeszcze jedna ciekawostka – ceny za wejście do rozmaitych tego typu obiektów różnią się w zależności od osoby zwiedzającej. Najmniej płacą sami Malezyjczycy, już trochę więcej Azjaci, a prawie podwójną cenę płacą pozostali cudzoziemcy. Jest to o tyle uczciwe, że cennik przedstawiający różne stawki jest oficjalnie wywieszany przy kasach i każdy może się z nim zapoznać. Zgadzasz się

- z tym – to wchodzisz, nie podoba ci się – rezygnujesz i nie oglądasz.
- » Orchid & Hibiskus Park – czyli park storczyków i hibiskusów. Mieści się on naprzeciwko bramy do parku ptaków, więc spokojnie można sobie zaplanować jednodniową wycieczkę do obu tych miejsc. Jeśli ktoś kocha kwiaty, to nie może tego parku pominąć – setki rodzajów storczyków, setki rodzajów hibiskusów. Nigdy bym nie pomyślała, że każde z nich ma aż tyle odmian. Rozmaitość barw, zapachów i kształtów. Przecudowny spacer, choć po parku ptaków i schodzeniu wszystkich ścieżek tutaj, powrót na pieszo do hotelu może być już trudny. W drodze powrotnej mija się Botanic Park, ale na przechadzkę po nim może już nie tylko zabraknąć siły, ale i możliwości zobaczenia czegokolwiek, bo o godzinie osiemnastej robi się w Malezji ciemno.
 - » Botanic Park – czyli, jak sama nazwa wskazuje, park botaniczny. I znowu ogromny teren do obejrzenia. Najróżniejsze gatunki drzew i krzewów, małe i większe jeziora, po drodze park jeleni (bardzo ubogi w jelenie, ale pięknie usytuowany), narodowy amfiteatr, pięknie urządzone plac zabaw dla dzieci. W małych barach lub kafejce można zjeść lody czy wypić kawę. Co najmniej trzy, cztery godziny całkiem fajnego spaceru.
 - » Aquarium – czyli spotkanie z fauną i florą morską. Tu cena dla „bladego” cudzoziemca kształtowała się

wtedy na poziomie 67 MYR, ale naprawdę było warto. Obiekt jest ogromny, a zaprezentowana tu wodna flora i fauna budzi spore emocje. Jest to rewelacyjny przekrój różnorodnych gatunków – od małych meduz i krewetek począwszy, przez najdziwniejsze gatunki ryb głębinowych i raf koralowych, skończywszy na rozmaitych gatunkach rekinów, płaszczyk czy żółwi. Oczywiście największą atrakcją jest wejście do tuby, w której wszystko to pływa człowiekowi po bokach i nad głową. Widok jest faktycznie niesamowity. Momenty, w których rekinowi lub płaszczyki można praktycznie zajrzeć w oczy, czasami zapierały dech w piersiach.

- » Zoo Negara – mając po jakimś czasie dość wielkiego miasta, pnących się pod niebo wieżowców i ogromnego zgiełku, można się wybrać do zoo. Zoo Negara pewnie niczym specjalnie się nie wyróżnia spośród ogrodów zoologicznych w innych krajach, natomiast ma jedną zaletę – jest fantastycznie zielone, co sprawia, że większość zwierzków przebywa w środowisku zbliżonym do naturalnego. Jest to bardzo przyjemne miejsce na trzy-, czterogodzinny spacer, aczkolwiek tutaj turysta też musi zapłacić swoją cenę. Koszt dla takich jak my wynosił wtedy 85 MYR. Dla chwili spokoju i ucieczki od zakorkowanego, hałaśliwego miasta można wysuwać z kieszeni tę gotówkę. Tym bardziej, że największą

atrakcją tego zoo są pandy. Trzymane w specjalnym pawilonie są najwyraźniej otoczone tutaj szczególną opieką. I wyglądają naprawdę uroczo.

- » Normalne życie Malezyjczyków – jeśli ma się już dosyć samego centrum, zawsze istnieje możliwość skorzystania z kolejki naziemnej (tak jak wspomniałam wcześniej, zwanej tu metrem) i pojechania na jakąś końcową stację. Byle przed siebie. Można tam wtedy zobaczyć, jak żyją normalni, przeciętni tubylcy. Kiedy się trafi do dzielnicy mieszkaniowej, okaże się, że tutaj też są wieżowce. Niektóre z nich mają po dwadzieścia jeden pięter albo i więcej. Ciekawe, czy im też się psują windy... Spacerując bocznymi ulicami zobaczyć można wybiegające ze szkoły dzieci, ubrane w granatowe spodnie lub spódniczki i biało-granatowe koszulki, małe jadalnie, stragany i niewielkie sklepiki. Ot, zwykłe normalne życie ludzi poza luksusowymi dzielnicami. Gdzieś tam znajdzie się ustawiony pod murem mały ołtarzyk, a napotkany po drodze Chińczyk opowie ci o tym, jak to przez lata mieszkał w Polsce. I to też jest Kuala Lumpur.

Jedną z zalet Malezji jest to, że można się tu spokojnie porozumiewać w języku angielskim. W hotelach, barach, restauracjach, sklepach czy na ulicy, kiedy zapytasz o drogę, większość przeciętnych Malezyjczyków odpowie ci, jeśli nie

trochę łamaną, to z pewnością rozumiałą angielszczyznę. Urzędowym językiem jest oczywiście malajski lub – jak go często nazywają – malezyjski, jednak język angielski, jako pozostałość kolonialna, jest bardzo rozpowszechniony. Jest to ogromne ułatwienie w poruszaniu się po tym kraju, trochę w przeciwieństwie do Tajlandii, gdzie znajomość angielskiego sprowadza się często do bardzo podstawowego słownictwa lub w ogóle do jego braku. Ci, którzy go znają, z uwagi na charakterystyczność własnego języka często mówią po angielsku niewyraźnie i trzeba się długo do tego przyzwyczajać. Język Tajów jest tak zwanym językiem tonalnym, czyli czymś, czego my nie znamy. Ten sam, wydawałoby się, wyraz wypowiedziany z inną tonacją, znaczy zupełnie co innego. Mówiąc w języku angielskim, wielu z nich nie jest w stanie uniknąć swoich tonów i stąd zrozumienie tego, co mówią, bywa czasami bardzo trudne.

Tajlandia

Chiang Mai

Nie płakałyśmy wylatując z Kuala Lumpur i z niewielkimi przygodami dotarłyśmy w końcu na północ Tajlandii i miasta Chiang Mai. Zarezerwowane przeze mnie lokum okazało się sporym apartamentem, w którym miejsca dla siebie miałyśmy już pod dostatkiem. Spędziłyśmy w nim dwadzieścia jeden dni.

Chiang Mai to przede wszystkim miasto świątyń – jest ich tam ponad trzysta. Małe, duże, w większości bardzo wiekowe. Do jednych trzeba wykupić bilet, do innych jest wstęp wolny. Oczywiście przed wejściem należy zdjąć buty i zasłonić wszelkie nagości. Na miejscu można na chwilę wypożyczyć w tym celu sari. Wnętrza kapią złotem, wśród którego stoją pomniki Buddy w różnych pozach. Każda z nich oznacza coś innego. Samo centrum miasta ma swój urok. Położone jest w kwadracie i otoczone fosą. Prowadzą do niego cztery bramy i właściwie, w którym kierunku by się nie poszło, zawsze trafi się na wodę.

Centrum Chiang Mai w niczym nie przypomina wielkiego Kuala Lumpur, pełnego pnących się pod niebo, wspaniałych wysokościowców, a jednak o wiele chętniej się je zwiedza. W tym mieście historia wyziera z każdego kąta i jest tu dużo więcej ciekawych miejsc do zobaczenia. Chiang Mai to także liczne bazy – nocne, dzienne, popołudniowe – które ciągną się wzdłuż ulic często na przestrzeni jednego lub więcej kilometrów. No i te ceny... W porównaniu do Phuket można by rzec, że dają tu wszystko za darmo. Można było na ich punkcie dostać kociokwiku. I nic dziwnego, że po pobycie tutaj nasze walizki zupełnie nie miały ochoty się domknąć.

Jest to również miejsce, w którym przebywa duża ilość tak zwanych ekspatów – cudzoziemców, którzy obrali sobie to miasto jako miejsce nie tylko pobytu, ale i pracy. Mają tu swoje kluby i wspierają się wzajemnie, jeśli zach-

dzi taka potrzeba. Pracują oczywiście legalnie dla firm, które uznały, że tylko cudzoziemcy mogą im w czymś pomóc, są nauczycielami – najczęściej języków – lub po prostu, mieszkając tutaj, pracują zdalnie dla swoich rodzimych firm. Wszystko to właśnie z uwagi na koszty życia, będące – nie tylko w Chiang Mai, ale generalnie w północnym regionie Tajlandii – o niebo niższe niż we wszystkich turystycznych regionach południa. W maju wielu z nich wyjeżdża zazwyczaj na południe Tajlandii, gdzie spędzają swoje urlopy, uciekając jednocześnie przed smogiem, który w tym czasie opada na miasto. To okres, w którym rolnicy rozpoczynają wypalanie pól ryżowych w celu ich użyźniania, a smog, którym pokryte jest wtedy miasto, praktycznie nie pozwala oddychać. Od dłuższego czasu rząd tajski próbuje temu zapobiegać, próbując monitorować w tych tygodniach sytuację i nakładać całkiem duże kary, ale wygląda na to, że jest to walka z wiatrakami. Całą sytuację pogarsza dodatkowo fakt palenia przez Tajów śmieci w ogniskach lub specjalnie wykopanych w tym celu dołach. Tajskie statystyki pokazują, że zanieczyszczenie powietrza w tym mieście przekracza okresowo wszelkie dozwolone normy. A szkoda, bo miasto jest naprawdę fantastyczne i o ileż lepiej by się tu mieszkało, gdyby ten problem został w jakiś sposób rozwiązany. Jak dotąd nikomu się to jeszcze nie udało.

Chiang Mai posiadające samo w sobie wiele atrakcji, jest także świetnie usytuowane. Można stąd spokojnie

wybrać się na bardzo ciekawe wycieczki, których ceny są dużo niższe od tych na południu Tajlandii. Łatwo się stąd dostać na najdalszą północ, do granicy z Birma i z Laosem, gdzie można spróbować alkoholi z różnymi zwierzakami w środku, zobaczyć na własne oczy Złoty Trójkąt, dawny obszar uprawy maku i sprzedaży opium, po drodze zwiedzić przepiękne świątynie, zwłaszcza białą w Chiang Rai, jeszcze jedną fabrykę produkcji nerkowców czy Wioskę Długich Szyi.

Jedną z największych atrakcji jest możliwość wyprawy do małych lub większych sanktuariów słoni, które od dłuższego czasu są objęte programem rządowym. Niestety, słonie w Tajlandii, służące często jako siła robocza, nie zawsze traktowane są po ludzku. Wykorzystuje się je także jako atrakcję turystyczną, poddając często okrutnej tresurze. W wyniku takiego traktowania słoni, zwłaszcza w okolicach Chinag Mai, powstały specjalne ośrodki, do których sprowadza się źle traktowane zwierzęta i w których tworzy się im normalne warunki do życia. Zazwyczaj prowadzone są one przez przedstawicieli górskiego plemienia, zwanego „Karen”. W jakimś stopniu rząd tajski finansuje ten program, aczkolwiek nie są to wpływy wystarczające na to, by utrzymać zaadoptowaną grupę słoni. Dlatego rozmaite firmy organizują wycieczki turystyczne do miejsc, gdzie można przez dzień czy dwa przebywać w towarzystwie tych zwierząt, ale na trochę innych zasadach niż jeź-

dzenie na ich grzbietach. W czasie takiego pobytu można je karmić, smarować błotem zapobiegającym zbieraniu się insektów, spacerować z nimi lub razem się kąpać w pomniejszych rzeczках lub małych jeziorkach. Zdobywane w ten sposób fundusze wspomagają te miejsca w ich utrzymaniu i w leczeniu zwierząt. Zazwyczaj te małe grupy słoni przebywają pół dnia z turystami, a po południu odprowadzane są do dżungli, gdzie mogą spokojnie korzystać z wolności. Udział w takiej wycieczce to ogromna moc przeżyć i wrażeń, a możliwość przytulenia się do słonia i spojrzenia mu w oczy, pozostawia niezapomniane wspomnienia. Taką wyprawę można połączyć z noclegiem w bambusowym pokoiku lub chatce, wspaniałym wschodem słońca nad górami przy wczesnorannej kawie, przejściem przez wioskę plemienia Karen i trekkingiem po dżungli, z którego przeżycia pozostają na długo w pamięci. Dodatkową atrakcją może być także spływ bambusową tratwą z nurtem wartkiej rzeki. Przepiękne widoki i frajda niesamowita. Emocje wyniesione z takiej wyprawy są nie do opisanania. Przeżyłam je, więc wiem.

W zależności od pory roku, w jakiej przebywa się w Chiang Mai, można spędzić tu również chiński Nowy Rok, hucznie obchodzony w tym kraju. Trwa on praktycznie pięć dni, podczas których odbywa się sporo imprez. Organizowane są wtedy wszelkiego rodzaju targi, a Chińczycy spożywają w tym czasie przeogromne ilości jedze-

nia. Ludność pochodzenia chińskiego stanowi tu dwanaście, trzystaście procent populacji kraju i skupia się przede wszystkim w większych miastach, tworząc wszędzie swoje małe Chinatown.

W Chiang Mai na uwagę zasługuje także, obchodzony tu zawsze w lutym, cudowny, niezapomniany festiwal kwiatów. Ulicami przechodzą w tym czasie przepiękne parady, wszędzie widać dekoracje kwiatowe, wieczorami w wielu miejscach odbywają się lokalne targi i występy muzyczne. Trzy dni barwnego, kolorowego święta i raj dla oczu, które bolą od oglądania różnorodnych kwiatów, a ilość odmian storczyków zapiera dech w piersiach.

Chiang Mai to także miasto z dużą ilością wartych odwiedzenia rozmaitych muzeów, z których każde jest w stanie zaspokoić zróżnicowane zainteresowania.

Jeśli kogoś interesuje kuchnia tajska, to może pojechać sobie na jednodniową naukę gotowania potraw tajskich, gdzie nauczy się szykowania najbardziej typowych dań, pozna wszystkie potrzebne do nich warzywa, a na koniec będzie mógł zjeść przygotowane przez siebie jedzenie.

Ci, którzy chcą odpocząć na chwilę od miasta, mogą się wybrać też do zoo, które w Chiang Mai jest ogromne. Wielu ludzi ogląda je sobie z jeżdżącej po nim kolejki lub bierze tuk-tuka. Jeśli ktoś wybierze się tam na spacer, musi być przygotowany na całodzienne chodzenie. My z Ewą zwiedziliśmy je piechotą, ale było to nie lada wyzwanie.

Polubiłam to miasto i, kiedy tylko mogłam, wracałam do niego choć na parę dni w czasie swoich kolejnych pobytów w Tajlandii. Chiang Mai ma naprawdę wiele do zaoferowania.

Den Chai

Po prawie trzech tygodniach pobytu w Chiang Mai wyruszyliśmy pociągiem w dalszą drogę. Tym razem zatrzymaliśmy się gdzieś pomiędzy Chiang Mai a – dalekim jeszcze – Bangkokiem. W czasie czterogodzinnej podróży napawaliśmy oczy wspaniałymi krajobrazami.

Miejscowość, w której wysiadliśmy z pociągu to Den Chai. Mała stacyjka i nazwa niewiele mówiąca nawet Tajom, z którymi później miałam okazję rozmawiać. Z pewnością nie była to żadna z miejscowości wpisanych na listę atrakcji Tajlandii, ale chcieliśmy ten kraj poznać także „od kuchni”. W istocie okazało się, że jako jedyne reprezentowałyśmy w tym miejscu gatunek „błędnych twarzy”, budząc zdziwienie zamieszkałych tam tubylców.

Miejsce naszego zakwaterowania okazało się jednym wielkim ogrodem z całkiem ładnymi i przestronnymi domkami. Z właścicielami komunikowałyśmy się za pośrednictwem ich w miarę mówiących po angielsku córek oraz telefonu. Na terenie ośrodka znajdowały się trzy stawy, w których Ewa, zamiłowany wędkarz, mogła oddawać się swojej pasji,

wyławiając ryby o kompletnie nieznanym nam do tej pory kształtach, a do posiłków dostawałyśmy owoce zerwane prosto z rosnących tu drzew. Droga do miasteczka prowadziła przez pola i tereny leśne. Obiad w barze po drodze kosztował dwadzieścia pięć batów, co w tamtym czasie było równoważnością dwóch i pół złotego. Od rolnika sprzedającego owoce i warzywa z samochodu można było za podobne pieniądze kupić kilka świeżych ananasów. Dwugodzinny masaż kosztował mnie tam sto pięćdziesiąt batów, czyli zgodnie z ówczesnym kursem piętnaście złotych. Jedynym mankamentem zaczynał być wzrastający upał i brak wody, w której można byłoby się zanurzyć. Zaletą było to, że wieczorami temperatura spadała do siedemnastu stopni, więc bez konieczności włączania klimatyzacji spało się nocami rewelacyjnie. Po dorysyt intensywnym i pełnym atrakcji pobycie w Chiang Mai, kompletny relaks jakiemu oddawałyśmy się w tej maleńkiej miejscowości, był nam chyba potrzebny.

Atrakcją podczas pobytu w Den Chai był wyjazd do miasta Phrae, stolicy prowincji o tej samej nazwie. Zabrali nas tam gospodarze, próbując urozmaicić nam pobyt w ich ośrodku. Jak zwykle do zwiedzenia pozostawały świątynie, gdzie w jednej z nich największą atrakcją była złota, ogromna postać leżącego Buddy. Udało nam się także odwiedzić tu-tejsze muzeum historyczne i obejrzeć eksponaty pochodzące z poprzednich wieków. Między innymi stała tam figurka Buddy odlana z prawdziwego złota, otoczona klatką ze szkła

i stalowymi prętami, zamknięta na piętnaście tysięcy kłódek. Miasteczko ogólnie dosyć senne, ale za to z pięknymi rezydencjami.

Sama prowincja Phrae leży na północy Tajlandii, blisko granicy z Laosem. W przeciwieństwie do południa Tajlandii, gdzie na rozległych obszarach występują drzewa kauczukowe, Phrae to przede wszystkim region lasów tekowych, z drewna których wyrabiane są nie tylko przepiękne meble, ale i budowane całe domy. Bardzo ładne rezydencje stawiane kiedyś z drewna tekowego (przede wszystkim przez bogatszych mieszkańców tego kraju) są symbolem odrębności tego regionu. Teczyna z uwagi na swoje właściwości przez wiele lat używana była do budowy statków i dlatego też swego czasu trzebiono te lasy bez pamięci. Dzisiaj, jeśli nie domy, produkuje się z tego drewna śliczne meble, na które można się natknąć w restauracjach, domach wczasowych, hotelach. Przy takim właśnie pięknym stoliku piłyśmy codziennie rano kawę na tarasie, zasiadając w głębokich, tekowych fotelach.

Powoli kończyła się nasza przygoda z Den Chai. Przed nami był ostatni etap podróży - wyjazd do Bangkoku. Za nami były dni wyjątkowego lenistwa, całkowitego luzu i relaksu. Śniadania praktycznie do łóżka, obiady w pobliskiej jadłodajni lub robione przez nas naprędce sałatki. Popołudniowe spacery do miasteczka po podstawowe produkty. W porównaniu do innych miejsc wydawanie znikomych pie-

niędzy. No i gorąco... W niektórych dniach temperatura dochodziła do trzydziestu siedmiu stopni i dopiero wieczorami można było w miarę dojść do siebie.

Obiad w naszej jadłodajni kupowaliśmy za 25 THB (2,50 PLN). Za torby pomidorów, ogórków, cebuli płaciłyśmy 50 THB. Ogromną wiązkę wspianiałych bananów prosto z ogródka kupowaliśmy za piętnaście batów. Kilo-gram przepysznych mango kosztowało 45 THB i podobnie kosztowały dwa ogromne ananasy prosto z pola. Za fryzjera płaciło się 100 THB. To tutaj była prawdziwa Tajlandia - uboga w luksusy, ale bogata życzliwością i uśmiechem. To nic, że nikt tu nie mówił po angielsku - język migowy i uśmiech pozwalały na wystarczającą komunikację. Znalazłyśmy miejsce, gdzie byłyśmy jedynymi białymi turystkami. Kiedy wyruszałyśmy do miasteczka, każda Tajka i Taj na skuterku witali nas okrzykiem „hello” i radosnym skinieniem głowy. Podobnie reagowały właścicielki i właściciele małych sklepików czy jadłodajni. A po drodze do miasteczka mijałyśmy maleńkie wioski, w których stawały nam na drodze gromady psów.

Bangkok

W końcu wyruszyłyśmy w ostatni etap naszej podróży. Bangkok, z którego miałyśmy odlecieć do kraju, zostawiłyśmy na koniec naszego pobytu w Tajlandii. W ostatnich dziewięciu

dniach miałyśmy zwiedzić najciekawsze rzeczy w tym mieście. Pojechałyśmy oczywiście pociągiem, a sama podróż trwała ponad siedem godzin. Była to bardzo przyjemna wyprawa, w czasie której mogłyśmy zobaczyć wielką połąć Tajlandii – zielone pola ryżowe, wzgórza i doliny, wsie i większe miasteczka, małe stacyjki. Wygodnie, z podanym posiłkiem i napojami, z możliwością dokupienia jeszcze czegoś na stacjach od wchodzących do pociągu drobnych sprzedawców. Można powiedzieć, że była to całkiem komfortowa jazda. I wszystko byłoby dobrze, gdyby ta wyprawa nie zakończyła się dla mnie w najmniej spodziewany sposób.

Drugiego dnia pobytu w Bangkoku, podczas spaceru, praktycznie na równej drodze już do hotelu, podwinęła mi się stopa i bez ostrzeżenia znalazłam się na ziemi. Niestety, już się z niej o własnych siłach nie podniosłam. Przywołana przez bardzo pomocnych Tajów karetka zabrała mnie prosto do pobliskiego szpitala. Badania na miejscu wykazały złamaną szyjkę udową i konieczność operacji. Tym sposobem, ostatnie osiem dni spędziłam w pokoju szpitalnym i wyjechałam z Tajlandii z założoną mi tam endoprotezą. Tym razem Bangkoku nie zwiedziłam i tylko Ewie udało się w nim zobaczyć parę ciekawszych miejsc. Jedynym pozytywnym punktem w tej całej historii był powrót do kraju biznes klasą, bo takie było zalecenie lekarzy. Ewa wracała do Polski sama, ja o dzień później. Pamiątkę z tamtego okresu w postaci endoprotezy noszę do dzisiaj.

I tu można dodać dwa słowa o służbie medycznej w tym kraju. Oczywiście byłam ubezpieczona i jako cudzoziemka korzystałam z kliniki prywatnej. Moja endoproteza założona została, jak to stwierdzili później polscy lekarze, rewelacyjnie. Ale należy też powiedzieć, że ogólnie medycyna w Tajlandii stoi na bardzo wysokim poziomie. W ostatnich latach kraj ten stał się obiektem „turystyki medycznej” w celu wykonywania tam najróżniejszych operacji. Z tajskiej opieki zdrowotnej korzystają przede wszystkim mieszkańcy Europy Zachodniej, Stanów czy Kanady. Zabiegi są tu o wiele tańsze niż we wspomnianych krajach, a do tego są naprawdę dobrze przeprowadzane. Dla Polaków w dalszym ciągu są to jednak duże pieniądze. I dlatego o jednym trzeba pamiętać - bez dobrego ubezpieczenia nie należy się ruszać poza granicę naszego kraju. Jest to podstawa wszelkich wyjazdów, zwłaszcza poza kraje Unii Europejskiej. Dodatkowo dobrze jest się upewnić, czy firma, w której wykupuje się ubezpieczenie ma w danym kraju swoich przedstawicieli lub zawarte umowy z zagranicznymi agencjami. W Tajlandii wiele prywatnych szpitali ma podpisane umowy wyłącznie z lokalnymi ubezpieczycielami i nie honoruje międzynarodowych polis. W takim przypadku musiałabym najpierw sama za wszystko zapłacić, a dopiero po powrocie dogadywać się z ubezpieczycielem. Ja miałam szczęście, że moja firma ubezpieczeniowa takiego agenta w Bangkoku miała, i szpital komunikował się wyłącznie z nim. W innym przy-

padku mogłabym opcjonalnie wylądować w jakimś szpitalu publicznym, które oczywiście też nie są złe, ale cała sytuacja mogłaby wyglądać inaczej.

I tak się zakończyła moja pierwsza, zimowa wyprawa do Tajlandii.

Farma rybna i najszcęśliwsza Ewa, która mogła dotknąć przedstawicieli najróżniejszych gatunków stworzeń morskich.



Wycieczka po Phuket - Kata View Point i pierwsze wrażenia z pobytu w Tajlandii.





Mali przedsiębiorcy na plaży na Patongu. Codziennie w tym samym miejscu czekały na nas krzeszётka i stolik.



Kuriozalna sieć energetyczna w Tajlandii. Tysiące drucików.



Na zapleczu Patongu - normalne życie Tajów.

Małe przedsiębiorstwa, tajskie domy, życie w cieniu centrum Patongu.



Promthep Cape - miejsce, które trzeba na Phuket bezwzględnie zobaczyć, zwłaszcza podczas zachodu słońca.

Wysepka Koh Yao Noi - miłość od pierwszego wejrzenia.



Farma rybna i cudowne rozgwiazdy. Cała masa radości.



Jak można tak się nadać?



W drodze na Wyspę Bonda - przerwa na kajakową wyprawę do wnętrza pasma górskiego na pełnym morzu.

Komercyjne stoiska na Wyspie Bonda, czyli mydło i powidło.



Droga z naszego hotelu na plażę Nai Yang Beach i jednocześnie otoczenie naszego hotelu.



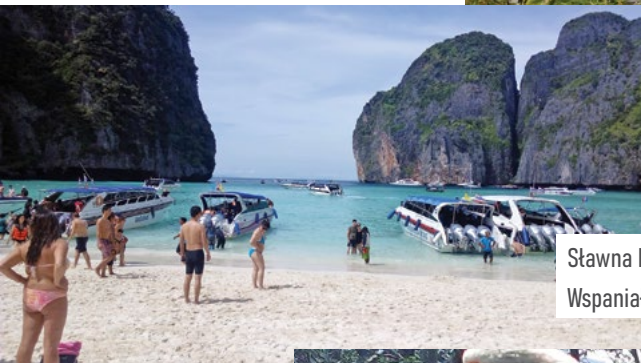
Dziki fragment plaży na Nai Yangu otoczonej pięknym Parkiem Sinaret.





Wspaniały Park Ptaków w Kuala Lumpur - ogromna przestrzeń, ogromna ilość różnego rodzaju gatunków latających, brodzących, skrzeczących.

Park storczyków i hibiskusów - wielbiciele kwiatów powinni koniecznie zobaczyć.



Stawna Maya Bay na Wyspach Phi Phi. Wspaniałe widoki i jeszcze większe tłumy.



Park Ptaków i możliwość karmienia ich z ręki.



Niezapnmianna wędrowka przez dżunglę podczas wyprawy do sanktuarium słońi.



Czekając na wschód słońca nad górami po nocy przespanej w bambusowym pokoiku.

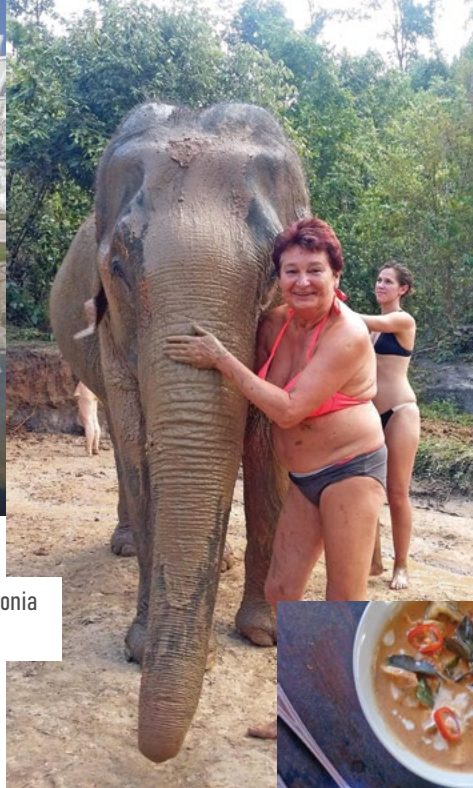


Karmienie słońi to wielka przyjemność. Dużo przy tym radości i śmiechu.



Pogaduszki z napotkanym na zapleczu Kuala Lumpur Chińczykiem, który spędził kilka lat w Polsce.

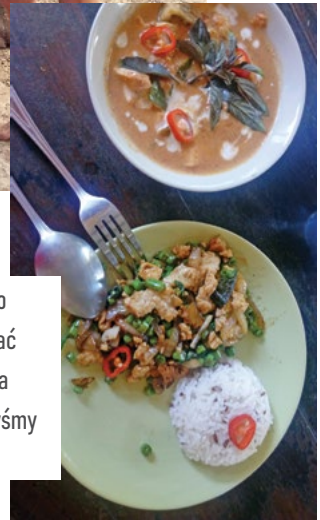
Niezwykła Biała Świątynia w Chiang Rai.



Możliwość przytulenia się do słonia
to uczucie trudne do opisan.



Takie potrawy udało
nam się przygotować
na kursie gotowania
tajskich dań. Zjadłyśmy
je z przyjemnością.



Kurs gotowania potraw tajskich
wraz z prezentacją tajskich warzyw
i przypraw.



Gotowe dania na bazarku w Chiang Mai.
Wybierać i próbować.

Przejście przez wioskę Karen podczas
wyprawy na słońce. Na zdjęciu małe
szkółko, do której dzieci przyjeżdżały
z dalekich stron.



Phrae, rezydencja spadkobiercy byłego
władcy Phrae, rok budowy 1897. Wiele
elementów zbudowanych jest z drewna
tekowego.



Świątynia w mieście Phrae.